

Od Kamińskiego do Latki z „Leara” i „Fedra” teatr pośrodku

PIEKNIEM i jako szczególnie miło wypadła uroczystość 20-lecia Teatru Dramatycznego m. st. Warszawy, którą uczczono uroczą premierą „Zabobonu”, czyli „Kramkowiakami i Góralami”, tym razem w mniej znanej wersji Jana Nepomucena Kamińskiego.

Jak na historię większości scen stołecznych, żywot tej placówki jest skromny, ale znacznie duże i wkład w powojenny dorobek wręcz imponujący. A że przyzwyczajono nas tu przede wszystkim do repertuaru współczesnego, z tzw. awangardą na czele (pamiętne kolejne inscenizacje Duerrenmatta, Jonnesco, Millera, Pintera, Witkacego, Gombrowicza, Różewicza, Mrożka itp.), z tym większą ciekawością czekała wierna publiczność na poczciwą śpiewogrodę narodową. Zwłaszcza że do teatralnej tradycji przeszedł jej wcześniejszy kształt, w wydaniu Wojciecha Bogusławskiego. Zaś o jego uczniu i kontynuatorze J. N. Kamińskim mało dziś kto poza teatrologami pamięta, choć zasługi dla sceny polskiej poniosł niemałe i to w wielu dziedzinach.

A tu nagle taką zabawa! Taniec i miłosne przekomarzenia, śpiew i zadzierzyste przytupywanie. Wdzięk, młodość, kolor i dużo ruchu. Rej na scenie wiedzie imię pan Miechodmucha w znakomitym wykonaniu Józefa Nowaka (wiele jego ról na tej scenie pamiętamy!). Sporo zamieszania czyni również ekonom Zygmunt Kęstowicz, a uroku dodają piękne dziewczęta, z Małgorzatą Niemirską — Dorotą i Mirosławą Krajewską — Basią na czele. Nie mniej cieszny najmłodszy narybek tej sceny: Roman Frankl, Iwona Słoczyńska, Marek Obertyn i Piotr Skarga, ładnie się ruszający, dobrze śpiewający i dziarsko dotrzymujący kroku starszym kolegom. Tak więc wszystkich warszawiaków — i przyjezdnych — gorąco na tę staropolską zabawę namawiam. Zadnej starości czy złe pojętej „Cepelii” tu nie ma, a można cieszyć i oko, i ucho, co wcale nowo nie jest tak częste w teatrze. Także Wojciech Młynarski zadbał o to, by końcówki kuplety (jakżeż w duchu czasów Bogusławskiego i Kamińskiego) spuentowały ten wieczór aktualnie brzmiającymi akordami.

Piękny ruch na scenie zawdzięczamy Barbarze Bittnerównie (choreografia), która potrafiła rozruszać i roztańczyć chor Związku Harcerstwa Polskiego, a wraz z nim cały zespół (przy wspólnym opracowaniu muzycznym Jerzego Dobrzańskiego). No i przede wszystkim gromkie brawa dla reżysera złości — Ludwika Rene, któremu na tejże scenie zawdzięcza-

my najwięcej niezapomnianych spektakli. To przecież on — wraz z nieodżałowanym scenografem Janem Kosińskim — dał nam przed laty przegląd kolejnych sztuk Duerrenmatta (pamiętacie „Dobrego człowieka z Seczuanu” czy „Romulusa Wielkiego?”), a obok tego np. wspaniałe „Kroniki królewskie”. Wyspiańskiego. Czas było na śpiewogrodę, jako że i w spektaklach muzycznych jest Rene mistrzem co się zowie.

Aw kolejny wieczór po jubileuszu znów miała miejsce na scenie Dramatycznego miła i niecodzienna uroczystość. Oto po przedstawieniu „Króla Leara” redaktor naczelny pisma „Teatr” wręczył twórcy tej inscenizacji, Jerzemu Jaroickiemu, nagrodę im. Konrada Swinarskiego, ufundowaną i przyznawaną przez tę redakcję za najlepszy spektakl roku w skali krajowej. Trzeba przyznać, że świeżo po sukcesach w RFN — zespół tego wieczoru grał „Leara” wprost koncertowo, tak, że dało to na sali niezapomnianą atmosferę. Znakomity Gustaw Holoubek i jego partnerzy doprowadzili widownię do spontanicznego entuzjazmu i wrzesczenia, co również, niesłuch, nie tak znów często zdarza się nam w teatrze. Jeśli więc ktoś jeszcze „Leara” w Dramatycznym nie widział — gorąco do tego zachęcam. Zwłaszcza tych licznych wielbicieli Melpomeny, którzy cenią tzw. spektakle aktorskie, z czysto wyprowadzoną i świetnie podaną myślą. A nawet całym bogatym materiałem do dalszych własnych przemyśleń na wiele tematów. Co do mnie — bytam nie tylko głęboko poruszona ale szereg spraw — jak choćby młodzieńczy upór i bezwzględność słodkiej zazwyczaj Kordelii — zobaczyłam w imię „Learze” zupełnie inaczej niż dotąd.

SPEKTAKLEM aktorskim na pewno jest również „Fedra” Jean Racine’a w Teatrze Małym (reżyseria Adama Hanuszkiewicza, scenografia Zofii de Ines Lewczuk). Tym razem jednak — zgodnie z kameralnością tej sceny — zobaczyliśmy wielką tragedię namiętności jak gdyby w domowym wydaniu. Zgodne to chyba bardziej z duchem teatru Hanuszkiewicza niż Racine’a. To też choć szereg rozwiązań wypadło bardzo interesująco, brak mi było odpowiednich proporcji spraw. Mimo wszystko tragedia Fedry nie polega wyłącznie na tym, że pokochoła dużo młodszego od siebie chłopca, który w dodatku woli inną. Gdyby o to tylko szło, mamy na ten temat wiele bardziej współczesnych pozycji. Wielkość tragedii Racine’a polega dopiero na splecie hieratycznej pozycji bo-

haterki z jej zwykłym ludzkim nieszczęściem. Jednym słowem brak mi było jednak królewskości Fedry, toteż za najpiękniejszy fragment gry Zofii Kucówny, uważam przejmującą scenę wyjawiania uczuć przed Hipolitem (udany debiut Waldemara Kownackiego). Tu bowiem rzeczywiście mogła być tylko kobieta — i zagrała to pięknie.

W spektaklu tym chciałabym jeszcze wyróżnić szczególnie rolę Tadeusza, którą szlachetnie i przekonująco poprowadził Henryk Machalica. I podkreślić piękno nowego przekładu Artura Międzyrzeckiego, choć koncepcja nadto jednostajnego mówienia wiersza osłabiała nieco wrażenie, nadto uspokajając rytm tych miłosnych namiętności. Nastrojowi na scenie doskonale sprzyjała piękna oprawa muzyczna.

NA koniec, skoro rozpoczęliśmy to sprawozdanie od komedii, zakończmy je również na wesółą nutę. W Teatrze „Rozmaitości” zobaczyliśmy wreszcie w Warszawie sztukę Ryszarda Latki („Tato, tato sprawa się rypla”) w reżyserii Wojciecha Soltarza i scenografii Jana Polewki. Sztukę tą zadebiutował nikomu dotąd nie znany autor i z miejsca uzyskał rzadko spotykany rozgłos. „Tato” grywany jest na wielu scenach, odnosi kolejne sukcesy i nadal znajduje się w planach wielu następnych scen.

Trudno się dziwić temu powodzeniu, choć na pewno sztuka nie jest doskonała. Ale dialog ma cięty, postacie ostro zarysowane, sytuacje śmieszne. Mimo wszystko jednak dużo w tym jeszcze nieporadności, a już zwłaszcza im bliżej jak do końcówki — tym gorzej. Wydaje się, że przedstawienie zyskałoby na szybszym tempie, stał i ludowe wstawki — przyspiewki i kapela — nie wydały mi się najlepiej zgrane z duchem tej komedii. Ostrej i wyraźnie zmierzającej w stronę grotesku.

Ale na bezybly i rak ryba. Rodzimej twórczości „do śmiechu” nie mamy za wiele, a gdy inscenizacji jednej pozycji jest na scenach aż taki urodzaj, trudno się dziwić, że każdy kolejny reżyser stara się ją choć trochę inaczej pokazać. Toteż bijemy brawo Plackowi (Tadeusz Grabowski) i jego rodzinie — i rozgrzeszamy z niedociągnięć scenę „Rozmaitości”. Z wdzięcznością, że nas jednak systematycznie raczy (a przynajmniej stara się to czynić) współczesną twórczością, i to z kręgu odbiorcy bardziej popularnego. A że sprawa trochę się jednak rypla — sam tytuł to zapowiada.